PO CO DOM HISTORII EUROPEJSKIEJ

Europo! Ojczyzno moja

W mroźny grudniowy poranek na wezwanie enerdowskich komunistów ciągnęłam przez śnieg sanki załadowane zabawkami i żywnością dla polskich dzieci. Dopiero na wystawie w Brukseli uzmysłowiłam sobie, że to piękne szkolne wspomnienie było związane z brutalnym zdławieniem „Solidarności”

Otwarta kilka miesięcy temu w Brukseli wystawa pod nazwą Dom Historii Europejskiej jest pierwszym wspólnym, międzynarodowym projektem proponującym wizję dziejów i pamięci Europy. Pracowało nad nią przez ostatnie osiem lat grono wybitnych historyków i muzealników z różnych krajów. Jej patronem jest Parlament Europejski.

Podobnie jak gdańskie Muzeum II Wojny Światowej także ta wystawa wzbudziła sprzeciw polskiej prawicy i nacjonalistów. I podobnie jak w Gdańsku twórców wystawy w Brukseli oskarża się o pomijanie i przemilczanie bohaterskiego i męczeńskiego wkładu Polski w dzieje Europy, jak odsiecz wiedeńska czy Bitwa warszawska.

Na prośbę „Wyborczej” grono europejskich historyków dzieli się z polską publicznością opiniami o Domu Historii Europejskiej.

Maciej Stasiński

Europa, ojczyzna eksperymentalna

PIETER LAGROU*

Europo! Ojczyzno moja! Ty jesteś jak zdrowie./ Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,/ kto cię stracił”. Polskim czytelnikom wers Mickiewicza przywodzi na myśl ich ojczyznę, choć poeta pisze o niej pod inną nazwą i mimo że historyczne ziemie, o których mówi, oraz dzisiejsza Polska tylko nieznacznie się pokrywają. Uczucia przynależności mogą być przenoszone na nowe polityczne formy, a historyczne odniesienia są rozciągliwe.

Litwo! Polsko! Europo! Co właściwie oznacza Europa w 2017 r.? „Pan Tadeusz” podpowiada, że powinniśmy zapytać o to Brytyjczyków, bo na wielu z nas zrobiły wrażenie smutek i żałoba, jakich doznało wielu brytyjskich przyjaciół po brexicie. Czego mianowicie będzie im brak? Wspólnego rynku, jednolitych bananów czy polskich hydraulików? Czy może raczej 3 tys. lat greckiej, żydowskiej i chrześcijańskiej spuścizny, kapitalizmu, praw człowieka?

To pierwsze może martwić, ale to raczej nie powód do żałoby. To drugie, owszem, może rodzić głęboki żal, ale w gruncie rzeczy brexit nie ma tu nic do rzeczy. Niektórzy uważają nawet, że stanowi warunek ich przetrwania. Unia Europejska to coś więcej niż liczący setki tysięcy stron prawny dorobek Wspólnot Europejskich. To przede wszystkim przynależność podszyta uczuciem i tożsamością.

Jak wiadomo, poprzednie próby przekucia tych uczuć w namacalne symbole się nie powiodły. Traktat konstytucyjny z 2005 r. został nazwany inaczej i pozbawiony preambuły. Banknoty euro nie mają wizerunków Leonarda czy Kopernika, poprzestały na formach geometrycznych. Jak mawiają Francuzi, europejska tożsamość jest ni fait, ni á faire. Niedorobiona.

No i mamy Dom Historii Europejskiej. Czy to zatem mission impossible? Instytucje europejskie przyciągają co roku setki tysięcy odwiedzających. Architektura ich siedzib wyróżnia się bardziej poprzez to, co zostało zniszczone, żeby je wznieść, niż poprzez śmiałość samych projektów. Europejska integracja zawsze była kiepska w tworzeniu symboli. Grupowe zdjęcie z podpisania traktatów rzymskich blednie przy szturmie Bastylii czy bitwie na Kosowym Polu z 1389 r.

Czy zatem Unia potrzebowała Domu Historii w trosce o tych obywateli, którzy jadą do Brukseli w poszukiwaniu jakiegoś widomego „oblicza Europy”, które zastąpi widok ponurych fasad biurowców?

Idei muzeum historii europejskiej można wiele zarzucić. Integracja europejska nie jest po prostu kolejną fazą procesu budowy narodów, może więc i powinna darować sobie większość zjawisk w XIX i XX wieku, jak dzieła narodowych malarzy i poetów, narodowy charakter, folklor i dzieje. Zarazem pomimo brexitu sprowadzanie europejskiej integracji do kategorii muzeum wydaje się przedwczesne. To wciąż przygoda niezakończona i niepewna. Dlatego Dom Historii nie nazywa się muzeum.

Albo Europa stanie się jedyną polityczną budowlą, która ma zakaz pamiętania o swojej przeszłości, albo stworzymy miejsce, w którym pokazywane będą cząstki europejskiej przeszłości, i przyznamy, że będzie ono wyłącznie forum debaty i poszukiwań. Ani jeden eksponat wystawy nie będzie jednomyślnie akceptowany.

Po ostrych sporach, jakie wzbudziła idea Domu Historii Francji, ten kraj z niej zrezygnował. Polska stworzyła dziesiątki muzeów, żeby zaspokoić swój głód historii, a i tak nie oszczędziło jej to zaciętych sporów. Możemy tylko mieć nadzieję, że kiedyś powstanie mnóstwo podobnych domów, muzeów czy wystaw przypominających historię Europy. Ale gdzieś trzeba było zacząć. I Bruksela wydaje się całkiem rozsądnym wyborem.

Narzekania na to, czego Dom Historii nie pokazuje, nie mają sensu. Winston Churchill na pewno jest bardziej znany niż Joseph Bech z Luksemburga, ale przecież wystawy nie służą zaspokajaniu oczekiwań albo wzmacnianiu stereotypów. Wystawa nie jest galerią sław - europejskich celebrytów, wydarzeń czy symboli. Skoro wyzwanie polegało na pokazaniu tożsamości europejskiej, to jak wystawa mogła odnieść sukces tam, gdzie całe pokolenia Europejczyków poniosły klęskę?

Dom Historii nie opowiada o budowie narodu europejskiego, lecz próbuje połączyć składniki dziedzictwa i drogi, które doprowadziły do wytworzenia konstytucyjnego patriotyzmu ożywiającego Europejczyków w bezprecedensowym eksperymencie.

Dom to miejsce eksperymentalne. Nie definiuje europejskiej tożsamości na poziomie starożytnych mitów, zmiennych map czy sprzecznych doświadczeń (począwszy od handlu niewolnikami po rządy prawa). Decyzja, by nie szukać źródeł, lecz rozpocząć opowieść od rewolucji francuskiej, była roztropna, bo to od tego momentu dopiero mamy nowożytną politykę z jej ideami prawomocnych rządów, prawa i ludowego przedstawicielstwa, które legły u podstaw Unii.

Goście przyzwyczajeni do nowocześnie opowiadających wystaw muszą się czuć nieco zagubieni w muzeum zbudowanym wokół mnóstwa prawdziwych i różnych eksponatów. Niektórych może szokować zestawienie niemieckich, żydowskich lub polskich uchodźców czy koszul noszonych przez bolszewickie i nazistowskie młodzieżówki, ale i może ich także wzruszać kolekcja portretów powojennego życia w Europie i przedmiotów codziennego użytku. Wystawa wydobywa codzienny banał, nie zaniedbując wielkich doświadczeń. Pokazuje prawdziwie europejskie i dlatego mylące doświadczenie, jakim są mury bez napisów, ale i tablety z tłumaczeniem na 24 oficjalne języki.

Każde przedstawienie europejskiej historii na ograniczonej przestrzeni i w czasie jedno- czy dwugodzinnej wycieczki jest w równej mierze artystycznym eksperymentem jak próbą opowieści. Poszukiwanie wspólnego języka przedmiotów, rysunków i doświadczeń, które składają się na europejskie dzieje, nie jest i nie może być stanowiskiem ideologicznym. To eksperyment, który trzeba kontynuować. W Brukseli i gdzie indziej. „Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie, kto cię stracił”. Kto wie, czy to nie poczucie eksperymentu właśnie opłakują Brytyjczycy.

PRZEŁ. MAS

***PIETER LAGROU** – profesor historii na Université Libre de Bruxelles

Występek w Domu Historii

MARTINA BALEVA*

Dokładnie dziesięć lat temu pojechałam na kilka dni do Sopotu, by odpocząć po mękach, jakich przysporzyła mi polityczna nagonka w mojej ojczyźnie. W 2008 r. chciałam zorganizować w Sofii wystawę o genezie bułgarskiego miejsca pamięci w Bataku (w 1876 r. w ówczesnej wsi wybuchło antytureckie powstanie, które zostało krwawo stłumione). Głównym punktem miał być obraz „Masakra Bataku”, dzieło polskiego malarza Antoniego Piotrowskiego powstałe w 1892 r. w Krakowie. Monumentalny obraz otwierał nowe spojrzenie na traumatyczny mit założycielski mojego kraju, wskazywał europejskie powiązania wydarzeń, na które do tej pory spoglądano wyłącznie z narodowej perspektywy.

Politycy bułgarscy uznali wystawę za zagrożenie dla narodu i sam prezydent stanął w obronie Bułgarów przed „fałszowaniem historii”. Skutkiem były oszczerstwa pod moim adresem, groźby pozbawienia życia, za moją głowę wyznaczono cenę. To zmusiło mnie do opuszczenia kraju.

W Sopocie, idyllicznej nadmorskiej miejscowości, dokąd przyjechałam z męczącego wygnania w Berlinie, znalazłam nie tylko schronienie, ale i nadzieję. Owego października 2007 r. codziennie drżałam o Polskę, by przyspieszone wybory doprowadziły do zmiany rządu. I tak się stało, Polacy wybrali na premiera liberalnego polityka przekonanego do idei zjednoczonej Europy.

Podziwiałam Polaków za to, że dokonali takiego wyboru, w czym widziałam impuls do zmian w krajach postkomunistycznych, a przede wszystkim w Bułgarii sparaliżowanej od lat przez korupcję, brak poszanowania dla państwa prawa, usłużne media i szalejący nacjonalizm. Te zjawiska wygnały miliony ludzi na emigrację.

Dziesięć lat później moje nadzieje opadły. Dziś Polska zdaje się wielkimi krokami przybliżać do tych samych politycznych realiów, przed którymi uciekłam z mojego kraju. Dom Historii Europejskiej w Brukseli został więc przez polskich nacjonalistów obwołany wrogiem, przed którym naród trzeba chronić. Wypowiadają wojnę w obronie polskiej historii, której rzekomo grozi zafałszowanie.

Sprawa rozegrała się wedle tego samego nacjonalistycznego wzorca. Najpierw z pomocą mediów kreuje się wroga narodu, przeciwko któremu politycy wychodzą na ring, by walczyć o laur najsilniejszego obrońcy. Im większy i bardziej niebezpieczny wróg, tym bardziej bohaterscy politycy. Nacjonalizm zawdzięcza wrogom to, że wspólnota narodowa może się od nich odcinać. Wrogowie są z reguły urojeni.

Na czym polega występek w Domu Historii? Wystawa pokazuje nie tylko traumatyczny mit założycielski narodu jako część ogólnoeuropejskiej pamięci. Stawia przed sądem historyczne europejskie oczywistości, jak osiągnięcie przez kontynent statusu globalnej potęgi dzięki kolonializmowi, dyktatury czy obie wojny światowe. To jest pouczające i ważne, bo pozwala zrozumieć, dlaczego nasza teraźniejszość jest, jaka jest, gdy na końcu zwiedzania staje boleśnie przed oczami zamknięcie się Europy na uchodźców symbolizowane zamkniętym w słoiku dziecięcym butem.

Bo nie tyle wielkie, dobrze znane opowieści, jak antyczne porwanie Europy, rewolucja przemysłowa, pierwsza masowa wojna, narodowy socjalizm, Holocaust, zimna wojna, cud gospodarczy czy upadek muru berlińskiego stanowią o zaskakującej lekcji tej wystawy. Jej pouczająca siła tkwi w szczegółach.

Jest tutaj gablota poświęcona ruchom narodowym w XIX wieku, w której pokazano rewolucyjne bi-



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 33734483

beloty ze wszystkich europejskich krajów: obok oryginalnych wydań Mickiewicza jest pośmiertna maska greckiego bojownika o wolność Theodorosa Kolokotronisa i zdjęcie profilowe Garibaldiego na wazie. To uzmysławia, jak bardzo spleciona była od początku sieć narodowych pionierów. Przypomniałam sobie, że polityczny los Polski był ideałem i impulsem dla Bułgarów, gdy po powstaniach w 1830 i 1863 r. polscy emigranci setkami wędrowali do imperium osmańskiego, by służyć za wzór i dawać nadzieję bułgarskim bojownikom o wolność. Z nimi przyszła moda na polskie imiona. Sławny Gavril Hlatev przyjął nazwisko polskiego emigranta i przeszedł do bułgarskiej historii jako Benkowski.

Znajdujące się na wystawie przedmioty z epoki socjalizmu, czyli czasów mojego dzieciństwa, obudziły we mnie inne wspomnienia związane z Polską. Pamiętam pierwsze lata spędzone w szkole w NRD, gdy w mroźny grudniowy poranek na wezwanie enerdowskiej partii komunistycznej SED ciągnęłam przez głęboki śnieg sanki załadowane zabawkami i żywnością przeznaczonymi dla polskich dzieci. Dopiero w Brukseli, na wystawie pokazującej odbudowę podzielonej Europy, uzmysłowiłam sobie, że to piękne dziecięce wspomnienie było związane z brutalnym zdławieniem „Solidarności". Najbardziej chwytają za serce nagrania z 1989 r. emitowane z ekranów telewizyjnych. Pokazują protesty w ówczesnych krajach socjalistycznych, ich wspólną determinację i siłę.

Dla mnie apogeum podczas zwiedzania wystawy była niepozorna inscenizacja, która więcej niż cokolwiek innego mówi o jej koncepcji. To dwa gładkie fotele z lat 50. stojące przed kolorowym telewizorem; na jego ekranie Richard Nixon rozmawia z Nikitą Chruszczowem. Rozmowa przeszła do historii jako „debata kuchenna". Przywódcy dyskutowali wówczas o wadach i zaletach komunizmu i kapitalizmu i choć różnili się diametralnie, byli w stanie się zrozumieć i dalej rozmawiać. Być może i my będziemy w stanie się od nich czegoś nauczyć. Dom Historii daje na to nadzieję.

Bazylea, 4 grudnia 2017
przeł. Bartosz T. Wieliński

***MARTINA BALEVA** – profesor slawistyki na Uniwersytecie w Bazylei

Wystawa wolności

ETIENNE FRANÇOIS*

Urodziłem się w 1943 r. w Rouen, mieście zniszczonym na skutek bombardowań podczas II wojny światowej, jako syn człowieka zatrzymanego w następnym roku przez Gestapo, a potem deportowanego do obozu koncentracyjnego w Niemczech. Wychowywałem się w rodzinie pochodzącej z Lotaryngii, gdzie pamięć o wojnach francusko-niemieckich z lat 1870-71 i 1914-18 jest szczególnie żywa. Miałem więc wszelkie powody, by stać się Francuzem o tożsamości zbudowanej na wrogości czy nienawiści wobec Niemiec. Stało się dokładnie odwrotnie.

Dorastałem w klimacie naznaczonym pojednaniem francusko-niemieckim i początkami konstrukcji europejskiej. Postanowiłem specjalizować się w porównawczej historii Niemiec na tle Europy. Karierę zawodową dzieliłem po równo między Francję i Niemcy, mam tytuł profesora i na paryskiej Sorbonie, i na Wolnym Uniwersytecie Berlińskim. Mieszkając z rodziną w obu krajach, nie tylko nauczyłem się lepiej rozumieć tożsamość każdego z nich, ale wyczuliłem się na trzy zasadnicze kwestie.

Pierwsza to mnogość więzi, które od zarania dziejów łączą francuską i niemiecką pamięć i historię. Druga to fakt, że pamięć i historię Francji, Niemiec i wszystkich krajów europejskich można zrozumieć tylko w szerszym, europejskim kontekście. I wreszcie okoliczność, że o ile wszyscy jesteśmy spadkobiercami wspólnej historii, o tyle musimy mieć świadomość, że rodzi ona poszczególne pamięci narodowe - zarazem różne i powiązane ze sobą, bo historia wszędzie przebiegała specyficznie.

Dlatego właśnie - po opublikowaniu w 2001 r. z Hagenem Schulzem książki na temat „niemieckich miejsc pamięci", w której podkreślamy znaczenie *divided and/or shared memories* - zająłem się badaniem europejskich pamięci. Razem z Thomasem Serrierem, specjalistą od historii stosunków i wymiany między Niemcami a Polską, a także setką autorów z całej Europy i innych krajów świata. Właśnie ukazał się w Paryżu gruby tom „Europa - nasza historia" zawierający 150 esejów, które dają otwarty obraz owych pamięci.

To wyjaśnia mój pogląd na Dom Historii Europejskiej, którego otwarcie w Brukseli wzbudziło tak sprzeczne reakcje. Byłem zachwycony sposobem, w jaki zespół autorów wystawy sprostał wyzwaniu, aby stworzyć ekspozycję autentycznie europejską. Tym trudniejszemu, że nie było żadnego wzoru takiej kolekcji.

Twórcy pokazali historię Unii Europejskiej w ramach historii Europy od końca XVIII wieku i zadbali, by konkretne przykłady pochodziły z całej przestrzeni europejskiej. Pokazali Europę jako całość w różnorodności. Historia Europy to coś więcej niż suma historii tworzących ją narodów, ale Europa i narody są wobec siebie komplementarne. Nie ma Europy bez narodów, ale i nie ma narodów bez Europy.

Twórcy nie sprowadzili historii Europy do jej historii politycznej; wręcz przeciwnie, wpisali ją w kontekst historii gospodarczej i kulturowej w ogólnym tego słowa znaczeniu. Ukazali też interakcje między historią „na szczycie" a prywatną, rodzinną historią każdego z nas, np. poprzez zestawienie całościowej wizji I wojny światowej z subiektywnymi świadectwami w postaci rozrzuconych na mapie kontynentu pocztówek.

Zamiast przeciwstawiać sobie historię i pamięć autorzy - zainspirowani z jednej strony myślą Umberto Eco, że językiem Europy jest przekład, z drugiej zaś Jorge Semprúna, że przyszłość Europy leży w pojednaniu między jej pamięciami - prezentują, jak historia i pamięć wzajemnie się określają. Brukselska ekspozycja pokazuje, że europejska historia jest otwarta i każdy z nas jest jej architektem.

Wrażenie zrobiły na mnie wyobraźnia i inwencja autorów, którzy w setkach europejskich muzeów wynaleźli tak różnorodne przedmioty i obrazy, a następnie zestawili je ze sobą w wystawie żywej, interaktywnej i interesującej dla bardzo różnych odwiedzających.

Ekspozycja jest ambitna i jednocześnie pokorna. Nie narzuca jednej interpretacji historii, jest świadoma swoich ograniczeń i nie ma innego celu jak przekazanie odwiedzającym informacji pozwalających na ukształtowanie własnej wizji, czym jest Europa, a czym powinna się stać. To ekspozycja wolności.

przeł. Beata Geppert

***ETIENNE FRANÇOIS**
– emerytowany profesor historii na Sorbonie oraz na Wolnym Uniwersytecie Berlińskim

Wystawa osiągnięć i krzywd

SUSANNAH ECKERSLEY*

Jakie może mieć znaczenie Dom Historii Europejskiej, gdy w wielu krajach pytaniem jest, czym jest lub powinna być sama Europa. Czy ma prezentować historyczne narracje poszczególnych krajów, gromadzić eksponaty o symbolicznym dla nich znaczeniu składające się na przestrzenno-rzeczową encyklopedię Europy? Czy ma być raczej miejscem ukazującym splot, powiązania i niesnaski dzielące różne kraje i społeczności, ich odmienną pamięć, wizje przeszłości, teraźniejszości i przyszłości?

Zadaniem muzeów było zwykle encyklopedyczne gromadzenie, przechowywanie i eksponowanie „szczytowych" osiągnięć ludzkości, ale muzea narodowe służyły też politycznym opowieściom, a nawet stawały się narzędziami narodowej propagandy.

Dom Historii Europejskiej widzi inaczej swoją odpowiedzialność przed europejskimi społeczeństwami. Muzeum otworzyło interaktywny atlas będący częścią ekspozycji stałej. Odwiedzających prosi się o wskazanie ważnych dla nich miejsc, w których mieszkają oni lub ich bliscy, gdzie powstaje muzyka, którą lubią, itp., a wtedy na wielkim ekranie, widocznym na wszystkich piętrach budynku i online, wyświetlają się związki między tymi miejscami i tymi, które wybrali inni odwiedzający. W tej lekcji geografii Europa leży w centrum, ale nie ma wątpliwości, że tę „Europę" buduje sieć powiązań, przepływów i wymiany nie tylko w jej ramach - także między nią a szerszym światem. Idea narodu i ważne narodowe narracje zostają więc włączone do sieci oddziaływań wzajemnych, pamięci, tożsamości, emocji, praktyk i dziedzictwa.

Taka prezentacja ilustruje podstawowy zamysł Domu Historii Europejskiej. Wykorzystując stosunkowo niewiele eksponatów mających przyciągnąć uwagę odwiedzających, muzeum kładzie nacisk na związki między społeczeństwami, miejscami, wydarzeniami i przemianami dokonującymi się w Europie i poza nią.

Przeszkody praktyczne piętrzące się przed nowym muzeum, które zaczyna od zera i nie ma własnej kolekcji, a chce prezentować „historię Europy" - i to w czasach, kiedy dyskutuje się o tym, kto jest, a kto nie jest jej częścią - twórcom placówki musiały się wydać przytłaczające. Mimo tych ograniczeń udało się wybrać kluczowe wątki i tematy, miejsca, ludzi i wydarzenia i zaprezentować zróżnicowanie i złożoność europejskiej historii równie zróżnicowanej publiczności. Odwiedzających, którzy szukają działu „historia Wielkiej Brytanii" albo „historia Włoch", spotka rozczarowanie, ale nie dlatego, że ich nie ma - bo są - tylko dlatego, że zostały rozproszone po różnych obszarach tematycznych, jak „przemysł", „imperia", „dyktatury", „represje" i „konflikty".

Muzeum wykorzystuje zarówno cyfrowe, jak i tradycyjne narzędzia. Zaprezentowano eksponaty wypożyczone z innych muzeów, archiwów i kolekcji z różnych krajów. Oznacza to, że Dom Historii może „opowiadać różne historie" Europy, zapraszając odwiedzających do zaangażowania się intelektualnego i emocjonalnego w jej przeszłość, teraźniejszość i przyszłość.

Uzupełnianie i modyfikacje Domu Historii Europejskiej wpisane zostały w kompozycję wystaw i strategię interpretacyjną, bo eksponaty trzeba będzie czasem zwracać instytucjom macierzystym. Konieczne będzie też włączanie kolejnych wydarzeń w dziejącej się historii Europy. Górne piętra muzeum poświęcone są współczesnym problemom kontynentu. Pokazują eksponaty, teksty i materiały pozwalające publiczności reagować w sposób niewątpliwie wpływający na europejską przyszłość na różne scenariusze wydarzeń, jak kryzys migracyjny czy brexit.

Przeszłość mamy za sobą, a jednak towarzyszy nam ona stale i kształtuje przyszłość. Wystawa w Domu Historii Europejskiej nie zadowoli nikogo, kto szuka porównań upraszczających, „obowiązujących narracji" poszczególnych narodów, religii, kultur z ich oficjalnymi dziejami. Zamiast tego widzimy skomplikowane dzieje zbiorowych osiągnięć ludzkości - i wyrządzonych krzywd - oddzielonych od narodowych stereotypów i uprzedzeń.

przeł. Sergiusz Kowalski

***SUSANNAH ECKERSLEY**
– profesor studiów nad dziedzictwem, historią i sztuką Uniwersytetu w Newcastle

Więcej głosów:
Wyborcza.pl/magazyn

CO NAM ZAGRAŻA: SCJENTYZM CZY IRRACJONALNOŚĆ?

O pułapkach myślenia naukowego dyskutuje **o. Maciej Zięba,** filozof, teolog i dominikanin, z **Witoldem Gadomskim**, publicystą „Wyborczej"

O. MACIEJ ZIĘBA: „Czy odrzucenie osiągnięć nauki pozwoli stworzyć lepszą ekonomię? Zakwestionowanie logiki ułatwi podejmowanie decyzji politykom?" - te dramatyczne pytania zadaje czytelnikom „Wyborczej" Witold Gadomski w tekście „Zabobony w życiu publicznym mają się nieźle" (18 listopada) i sugeruje, że odpowiadam na nie twierdząco w eseju w „W czarno-różowych okularach" („Plus Minus", 23-24 września). Ponieważ, delikatnie rzecz ujmując, jest to „groch z kapustą", pozwalam sobie na napisanie tego komentarza.

Zdaniem Witolda Gadomskiego mam upośledzenie umysłowe, bo - wedle niego - potępiam dochodzenie do prawdy metodami naukowymi, unieważniam osiągnięcia nauki i wspieram narastanie w Polsce fali irracjonalizmu.

Ale tak nie jest - kocham naukę. Za to nienawidzę scjentyzmu. Uznaję go za połączenie bezkrytycznej wiary w naukę i racjonalizm z agresywnym ateizmem. Jak wiele innych „-izmów" scjentyzm jest ideologią, a więc teorią usiłującą za pomocą prostego konceptu wyjaśnić strukturę rzeczywistości. Dla scjentystów wszystkie istotne problemy człowieka rozwiązuje nauka i zarazem istotne problemy człowieka to te, które rozwiązuje nauka. Inne są albo nieważne, albo urojone.

WITOLD GADOMSKI: Fala irracjonalnych poglądów i zachowań widoczna jest w naszym kraju, ale także w społeczeństwach zachodnich - bogatych i na ogół nieźle wykształconych. Maciej Zięba, z wykształcenia fizyk i były zwierzchnik Polskiej Prowincji Dominikanów, polemizując ze mną, twierdzi, że złem jest przede wszystkim „scjentyzm". O ile jednak irracjonalizm łatwo odróżnić od myślenia racjonalnego, czyli opartego na doświadczalnych faktach i zasadach logiki, o tyle granica między „scjentyzmem" a pokładaniem zaufania w nauce jest rozmyta. Zięba pokazuje wiele fałszywych teorii, które zostały negatywnie zweryfikowane, i uznaje to za dowód, że nauce nie można ufać. Ale nauka generalnie polega na tworzeniu nowych teorii, które lepiej opisują rzeczywistość niż stare i są weryfikowane przez doświadczenia. Dla naukowców fakty, które przeczą istniejącej teorii, są impulsem do tworzenia teorii nowych. Nie oznacza to jednak wcale, że nauka jest niewiarygodna, tym bardziej że jej odkrycia mają często zastosowania praktyczne. Kolejne fale wynalazków to triumf nauki, a nie zachowań irracjonalnych.

Nauka, nawet w jej wypaczonej wersji, którą Zięba nazywa „scjentyzmem", nie rości sobie prawa do tego, by zastąpić etykę, moralność, a także doznania estetyczne, emocje. Ale wprowadza w działaniach społecznych racjonalność, której wciąż jest za mało. Jest wypychana przez myślenie irracjonalne lekceważące podstawowe zasady logiki, rachunku prawdopodobieństwa, odrzucające naukowe ustalenia. Irracjonalne myślenie i zachowania są odpowiedzialne za współczesny terroryzm, za trwające kilka wieków wojny religijne. Irracjonalne były idee stanowiące podstawy dwóch najstraszniejszych XX-wiecznych totalitaryzmów.

„Scjentyzm" to wydumane zagrożenie, zwłaszcza gdy spokojnej egzystencji społeczeństw zagraża fala irracjonalności. ●

Dyskusja w całości na **wyborcza.pl/magazyn**

W dniu 12 grudnia 2017 roku zmarła

ŚP

Barbara Głowacka

Msza żałobna zostanie odprawiona
w środę 20 grudnia 2017 roku o godzinie 11.00
w kościele Niepokalanego Poczęcia NMP w Warszawie (ul. Przy Agorze 9).
Pogrzeb odbędzie się na Cmentarzu Komunalnym Północnym o godzinie 12.30.

Rodzina

WWW.NEKROLOGI.WYBORCZA.PL/33736087